

# ŚWIĘTA WODA. CERKIEW. ORŁOWSKI

Iwan Kulik

*Zaprezentowane w tym numerze fragmenty twórczości pisarskiej Iwana Kulika stanowią kontynuację cyklu autobiograficznych opowiadań malarza prezentowanych we wcześniejszych numerach „Pressji”. Wszystkie skróty pochodzą od redakcji.*

134

**M**ój chrzest odbył się w wielkiej tajemnicy. Miałem półtora roku. Rodzice z dziećmi zebrali się w ukrytym, porośniętym trzciną miejscu na rzece. W lodzie została zrobiona przerębla. Batiuszka, starowina, poświęcił wodę w przerębli, zanurzając w niej krzyż. Potem brał dziecko, zbliżał je do przerębli i polewał główkę dziecka zimną wodą. Ponieważ byłem bardzo ciężki, upuścił mnie do przerębli. Wpadłem głęboko pod lód, w tym miejscu był silny prąd rzeki. Mój ojciec wskoczył do przerębli i szybko wydobyl mnie spod lodu. Wziął od mamy chustę, zawinął mnie w nią i pobiegł ze mną do domu. Złapał butelkę mocnego bimbrowa, oblał mnie nim i energicznie roztarł. W ten sposób uratował mi życie. Zostałem rzetelnie ochrzczony wodą. Staruszek batiuszka, mimo tego wypadku, kontynuował procedurę i ochrzcił pozostałe dziesięcioro dzieci. Chrzczenie wiejskich dzieci wodą w przeręblach było sposobem naturalnej selekcji. Słabe czy cherlawe dziecko nie wytrzymało, dostawało zapalenia płuc i umierało, jeżeli chrzciny odbywały się zimą. Na wsiach rodziło się dużo dzieci, rodzice nie mieli ich czym wykarmić i nie było możliwości, żeby leczyć słabych. W ten sposób zostawali przy życiu tylko najsilniejsi i najwytrzymalsi. Ciąta ludzi się wzmacniały, ale ich dusze stawały się szorstkie, traciły zdolność współczucia i miłości. (...)

Od dziecka uczestniczyłem z babcią w pogrzebach krewnych i obcych ludzi. Widziałem zmarłych, widziałem ich obmywanie wodą, ubieranie, wkładanie im w ręce świec i krzyża, układanie monet na powiekach, moszczenie trumien pachnącymi trawami i kwiatami. Wszystko było organiczną częścią życia. Przede mną jako dzieckiem nikt tego nie ukrywał,

żadnego strachu przed tym nie czułem. Przez myśl mi nawet nie przeszło, że należy się bać zmarłego człowieka. Babcia mawiała, że zmarli nie są straszni, straszni bywają żywi. Widziałem płaczące i lamentujące kobiety. Mężczyźni płakali bardzo skrycie, kryjąc emocje. Kontakt z cerkwią był ograniczony. Słyszałem głos dzwonu. Dzwon był zrobiony z gilzy od pocisku i jakichś kawałków rur. Cerkiewne dzwony dzwoniły, ale nikt do cerkwi nie szedł, wszyscy byli w pracy w kołchozie. Tylko nieliczni, bardzo starzy ludzie mogli sobie pozwolić na to, żeby na głos dzwonów iść do cerkwi. Cerkiew była starą chatą, krytą strzechą z trzciny i słomy. Do belki przed wejściem przybity był drewniany krzyż, jak nakazywała tradycja prawosławna.

Batiuszka wyglądał na siedemdziesiąt lat, z siwą brodą i włosami zaplecionymi w warkocz, schowanymi pod nakryciem głowy. Ubrany był w długą czarną riasę. Kontakt z dziećmi i uczniami był mu zabroniony, podobnie jak przyprawianie dzieci do

**Kontakt z cerkwią był ograniczony. Słyszałem głos dzwonu. Dzwon był zrobiony z gilzy od pocisku i jakichś kawałków rur. Cerkiewne dzwony dzwoniły, ale nikt do cerkwi nie szedł, wszyscy byli w pracy w kołchozie.**

cerkwi. Oficjalnie nie było takich przepisów, nikt o tym specjalnie nie mówił, ale wszyscy o tym wiedzieli i rodzice unikali kontaktów z batiuszką. Pierwszy raz znalazłem się w pobliżu cerkwi, gdy babcia zabrała mnie na nabożeństwo związane ze świętem urodzajów. Wodą święconą skrapiano owoce i warzywa. Jako dziecku, wszystko to wydawało mi się niezwykle zajmujące. Jabłka i gruszki pokropione wodą święconą stawały się jeszcze smaczniejsze. Trzymałem jabłko w dłoni i chłonałem atmosferę święta. Miałem wtedy pięć lat.

Drugi raz byłem w cerkwi, kiedy miałem siedem lub osiem lat, na Rizdwo – Narodzenie Dzieciątka Jezus. Mama obudziła mnie bardzo wcześnie rano. Bez śniadania, w zawieruchę poszliśmy do cerkwi. W środku cerkwi było ciemno, zimno, odrobinę światła dawało parę kopających świec. Pachniało kadzidłem, stare ikony nosiły ślady ukrytej działalności korników, były poczerniałe i odarte ze srebrzystych koszulek. W cerkwi stały kobiety i kilku starych mężczyzn, pogrążonych w modlitwach. Niczego wprawdzie nie zrozumiałem, ale wrażenie było na tyle silne, że pamiętam je do dziś. Smutne spojrzenia świętych z ikon zapadły mi głęboko w pamięć. Wróciłem do domu, zjadłem śniadanie i poszedłem do szkoły. Mama zabroniła mi mówić kolegom z klasy o tym, że byłem w cerkwi. Mogłoby to dojść do dyrektora szkoły, ten kazałby wezwać rodziców i odbyłaby się poważna rozmowa o nieprawidłowym wychowywaniu dziecka – przyszłego pioniera, komsomolca, komunisty. Mogło to też ściągnąć nieprzyjemności na głowę batiuszki.

Pewnego razu, gdy wracałem ze szkoły, spotkałem na drodze batiuszkę. Miał na imię Łazarz. Zatrzymał mnie i uprzejmie mnie spytał, kto jest moim dziadkiem,

135

a kto moją babcią, i jak mam na imię. Byłem pod dużym wrażeniem tego spotkania, bo batiuszka był człowiekiem jakby z innego, świętego wymiaru i różnił się od moich sąsiadów kołchoźników, a także od moich dziadków i rodziców. Na pożegnanie poczęstował mnie czekoladowymi cukierkami. Życzył mi dobrych wyników w nauce i rozstaliśmy się. Był to mój jedyny w życiu kontakt z batiuszką Łazarem, dwie, trzy minuty rozmowy. Sługom bożym nie wolno było podchodzić do młodych ludzi pod groźbą różnych form represji ze strony władzy. Szkoła była ateistyczna, budował się nowy, bezbożny świat. Partia wzięła na siebie wszystkie funkcje i swojej ideologii chciała nadać rangę nowej religii. W domu były ikony, ponieważ babcia, jako religijna osoba, podtrzymywała w rodzinie prawosławne tradycje. Prababcia Marija była głęboko wierząca, spędzała bardzo dużo czasu na modlitwach, czasami modliła się przez całe noce. Babcia Gala w miarę możliwości starała się pamiętać o każdym święcie, chciała też nauczyć mnie modlitw. Wszystko to jednak było na nic. Nauczyciele w szkole wychowywali dzieci, wpajając im antyreligijne pojęcia i zmuszali nas, byśmy w domach przekonywali do nich nasze babcie i dziadków, tłumacząc im, że Boga nie ma. (...)

### Cerkiew

Liaszcziwka należy do glinianej kultury budownictwa. Miejscowi zawsze bardzo ostrożnie i oszczędnie odnosili się do lasu. Ziemia jest bardzo dobra, czarnoziem, dlatego cała zawsze była przeznaczana pod zasiew pszenicy, a na lasy przeznaczano jej bardzo mało. Wszystko budowano z gliny, z wykorzystaniem małej ilości drewna, strzechy kryto trzciną. We wsi była kiedyś cerkiew zbudowana z drewna za kozackich czasów. Było to oznaką wielkiego bogactwa. W połowie XIX wieku cerkiew ta spłonęła od uderzenia pioruna. Zginęły malowidła ściennie i ikony. Pożar zaczął się w miejscu, gdzie był namalowany Sąd Ostateczny, czyli przy wyjściu z cerkwi. Dlatego też nie można było uratować cerkwi, wejście i wyjście były zagrodzone ogniem. Bardzo wielu ludzi, ratując cerkiew, odniosło rany. Płonął Sąd Ostateczny namalowany na ścianie i płonęli żywi ludzie w środku cerkwi. Kiedy cerkiew płonęła, ludzie uznali to za zły znak, zwiastujący nadejście czegoś gorszego niż ten pożar. Pytali się tylko jedni drugich: kiedy? Nadpalone drewno poroznoszone zostało po gospodarstwach. Z desek robiono trumny, bo drewno było poświęcone, pochodzące z cerkwi, i ludzie uważali, że w takiej trumnie można będzie leżeć w ziemi aż do Sądu Ostatecznego w nienaruszonym stanie. Batiuszka handlował lepszymi fragmentami drewna, ponieważ zbierał pieniądze na nową cerkiew. Mój pradziadek był tak bardzo przedsiębiorczy i pobożny, że trumien narobił dla całej rodziny na 50–70 lat, także dla swoich wnuków, bo rodzina chciała spotkać się razem po Sądzie Ostatecznym na tamtym świecie, w Raju.

Mimo dobrych chęci batiuszka mógł postawić drugą cerkiew jedynie z gliny, małą, podobną do wiejskiej chaty. Ludziom było tam ciasno. Inicjatywę zbudowania no-

wej cerkwi podjęła więc kniahini Marija Kantakuzowa-Spierańska w 1860 roku. Na najwyższym wzniesieniu w okolicy zbudowała ogromnych rozmiarów cerkiew wysoką na ponad trzydzieści metrów. Budowa ciągnęła się dziesięć lat. Przy budowie cerkwi były takie lata, kiedy ludzie pracowali tylko za jedzenie, ponieważ pieniądze ofiarowane przez kniahinię się skończyły. Smutek ubóstwa budowniczywie zamieniali w uduchowanie, oddawali siły w darze Bogu, budowali cerkiew w imię Jego sławy.

Ukończona cerkiew była wielka, mieściła ponad pięciuset ludzi. Była największą cerkwią w okolicy. Do Liaszcziwki przychodzili modlić się ludzie z dalekich wsi. Z Kijowa przewieziono ręcznie pisane święte księgi. Malowidła ściennie i ikony malowali mnisi z klasztoru w Zołotonoszy. Liaszcziwianie na znak wdzięczności karmili mnichów i wysyłali mąkę do zołotonoskiego klasztoru. Krzyże i dzwony zostały odlane w Kijowie i przewieziono je barkami po Dnieprze. Cerkiew była bardzo piękna. Sławiła się tym, że podobno, kto się w niej pomodlił, mógł mieć dzieci do późnej starości, bez uszczerbku na zdrowiu. I faktycznie, liaszczziwianie mieli bardzo dużo potomstwa. Kobiety rodziły po dwadzieścioro i więcej dzieci. W mojej rodzinie kobiety też miały dużo dzieci, rodziły bezustannie, nawet kiedy same były już babciami, dzieci wysypywały się jak groch ze strączków.

Kniahini z rodziną przyjeżdżała do cerkwi ze swojej posiadłości w Wielkiej Buromce. Mój pradziadek z innymi wieśniakami podczas jej przyjazdów klęczeli wokół karety na znak wdzięczności za pomoc przy budowie cerkwi. Zawsze uczestniczył też w honorowej eskorcie kniahini podczas jej przyjazdów i odjazdów i torował jej drogę do ołtarza, odpędzając batem tłoczących się wiernych. W roku 1907 kniahini zaczęła przygotowywać się do wyjazdu rodziny za granicę. Do roku 1910 cała kniaziewska ziemia była sprzedana, w powietrzu wisała już wielka rewolucja. Kniahini była bardzo mądra i na pożegnanie powiedziała swoim ludziom: „Módlcie się i proście Boga, może On nas uratuje. Szatan idzie na ruską ziemię”. Miała na myśli nadchodzącą ideologię socjalizmu i komunizmu.

Rewolucje i wojny nadeszły, a ludzie przyjęli do duszy socjalizm i ateizm. Rzucili się na batiuszków. W Liaszcziwce, po zebraniu komsomolców, świeczką opalono batiuszce brodę i obcięto mu warkocz. Był starym człowiekiem i pękło mu serce z żalu i smutku. Na rok przed nadchodzącym głodem, w 1932 roku, zaczęto rozbierać cerkiew. Do rozbioru cerkwi komsomolcy i partyjni wysłali byłych kułaków. Babcia z dziadkiem rozbierali cerkiew cegła po cegle. Z wierzchołków kopuły zrzucano krzyże, dzwony upadły i oddały swój ostatni głos. Rozbiórkę mieli prowadzić kułacy, ponieważ to oni, jako klasa zniewalająca, budowali cerkiew, to opium dla ludu. Mój ojciec, mały chłopczyk, także pomagał rozbierać cerkiew, gdyż za pracę dawali jedzenie. Mógł zjeść trochę kaszy. (...)

Jeden z cerkiewnych dzwonów był tak wielki, że kiedy wieszono go na stację kolejową, pod jego ciężarem zawalił się most. Dzwon, spadając do wody, pociągnął za sobą woły i chłopów. Do tego czasu leży w rzece na terenie Liaszcziwki pod grubą warstwą mułu. Kiedy krzyże z cerkwi upadły na ziemię, wierni rwali włosy z głów. Płacz i lament rozlegały

się przez dni i noce, wypełniając okolice. Komuniści chcieli raz na zawsze zakończyć sprawę i na nocnym zebraniu podjęli decyzję, żeby ukryć krzyże. Zakopali je w ziemi. Tak się złożyło, że ci, którzy je zakopywali i wiedzieli, gdzie się znajdują, byli potem represjonowani w różnych okolicznościach i zostali wywiezieni z Liaszcziwki do obozów. Do Liaszcziwki już nie wrócili, miejsca ukrycia krzyży nikt nie zna. Miejskowa legenda głosi, że krzyże podniosą się z ziemi wtedy, gdy umrze ostatni komunista z Liaszcziwki. Na razie krzyży nie widać, co znaczy, że komunizm jeszcze żyje, chociaż partyjni weterani odchodzą na

**Jeden z cerkiewnych dzwonów był tak wielki, że kiedy wieszono go na stację kolejową, pod jego ciężarem zawalił się most. Dzwon, spadając do wody, pociągnął za sobą woły i chłopów. Do tego czasu leży w rzece na terenie Liaszcziwki pod grubą warstwą mułu.**

tamten świat. Ostatnio, szukając drogi do Boga, w Liaszcziwce postawiono nową cerkiew. Długo błądzono w ciemności i dotąd nadal nie odnaleziono światła. Zapraszani są batiuszkowie z sąsiednich wsi. Zazwyczaj są to młodzi ludzie, świeżo po seminarium. Raz przyjechał młody batiuszka, zebrał pieniądze na tacę, zabrał je i uciekł. Milicja szybko odebrała pieniądze, aresztowano młodego batiuszkę i wysłano go na służbę po drugiej stronie Ukrainy. Sprawę umorzono.

138

## Orłowski

Po wojnie zapanował deficyt duchownych. Batiuszkowie byli zniszczeni represjami. Do wsi przyjechał pułkownik Orłowski, który jako oficer kadrowy przeszedł przez całą wojnę. Od roku 1946 do roku 1960 był we wsi batiuszką. Po jakimś czasie dostał nowe zadania i wyjechał do Zołotonoszy, gdzie został dyrektorem elewatora. Pułkownik Orłowski był wesołym batiuszką, pił wódkę i lubił kobiety. Jego żona miała liberalne poglądy i specjalnie go nie pilnowała. Podobno pułkownik Orłowski został przysłany przez władze do wsi, by kontrolować sytuację, zachowanie narodu i to, czy komuniści noszą swoje dzieci do chrztu. Oficjalnie członkom partii odmawiał chrztu, ale swoim bliskim i znajomym z partii, z którymi pił wódkę – nie odmawiał. Mój brat był chrzczony przez Orłowskiego w 1954 roku. Czy brat jest naprawdę ochrzczone, skoro chrzcił go batiuszka funkcjonariusz władzy radzieckiej? Podobno Orłowski był agentem tajnych służb politycznych, a chrzciny brata były zwyczajną profanacją. Wiele dzieci zostało ochrzczone przez Orłowskiego. Dzieci niczego nie podejrzewały, rodzice byli szczęśliwi, że wypełnili tradycję prawosławia.

Pop Orłowski, będąc jeszcze młodym człowiekiem, buntował się przeciwko swojemu ojcu, wiejskiemu duchownemu. Był komsomolcem i zarzucał ojcu, że ten sieje opium

dla narodu i ogłupia ludzi. Dużo czasu zabierało mu udowadnianie ojcu, że Boga nie ma. Ojciec mu na to odpowiadał: „Nie pluń do studni, z której będziesz pić wodę”. Kiedy partia zrozumiała, że kraj został bez duchownych po ciężkich represjach lat dwudziestych i trzydziestych, partyjni sekretarze powiedzieli pułkownikowi Orłowskiemu: „Twój ojciec był duchownym, wyrosteś obok niego, w cerkwi, znasz liturgię i święte księgi. Idź na popa. Potrzebujemy w Cerkwi radzieckich batiuszków. Cerkiew powinna zostać zreformowana, przebudowana według naszej radzieckiej idei”.

Orłowski, kiedy mocno wypił, mówił ojcu: „Jesteście z kułaków, wy Kulykowie i Kozulowie, ludźmi starej formacji. Kiedy twój syn Iwan podrośnie, pomogę mu uczyć się na batiuszkę. W seminarium mam przyjaciół profesorów”. Ojciec ze strachem odpowiadał Orłowskiemu: „Nie, nie, to niemożliwe. My, Kulykowie, i tak tu bez popostwa jesteśmy podpadnięci w miejscowej organizacji partyjnej”. Orłowski mówił: „Partia tylko będzie za, jeśli będzie się dla niej starał w Cerkwi”. Ojciec rano, po wieczornej popijawie, mówił rodzinie: „Nie, nie, ten Orłowski jest szaleńcem ze swoimi reformatorskimi ideami. Nam Kulykom nie są potrzebne ani popostwo, ani partia. Jeśli tam wleziemy – to jak między żarna, zetrą nas tam na mąkę”. W odróżnieniu od ojca babcia głęboko rozumiała iluzoryczną konstrukcję otaczającego nas świata i szła na kompromisy. Wychodziła do bramy i wypatrywała Orłowskiego, kiedy szedł z cerkwi. „Batiuszko!

**„Twój ojciec był duchownym, wyrosteś obok niego, w cerkwi, znasz liturgię i święte księgi. Idź na popa. Potrzebujemy w Cerkwi radzieckich batiuszków. Cerkiew powinna zostać zreformowana, przebudowana według naszej radzieckiej idei”.**

Dzisiejszej nocy nawarzyłam nową, świeżutką gorzałeczkę. Może będziecie łaskawi i zajdziecie na obiad!” Orłowski odchrząkiwał, zastanawiał się, a potem przychodził do nas, jadł barszcz, wypijał pierwsze 100 gram. Babcia nalewała i podawała Orłowskiemu kieliszeczek za kieliszczykiem. „Tak, tak, batiuszka jest dla naszego domu drogim gościem. Życzy wiele dobrego mojemu wnukowi, aż mi od tego rosną skrzydła. Będę chować wnuka z wielką radością, może Bóg da i z waszą pomocą zostanie batiuszką...” Orłowski, obgryzając kurzą nóżkę, odpowiadał: „Ja się już o to postaram” i, chcąc się jakoś babci odwdziaczyć, deklarował: „Będę uczyć waszego Iwana na popa”. Ojciec odpowiadał na to: „Chłopak nie ma zdolności do śpiewu, słyhać to nawet, kiedy płacze w kołysce”. Orłowski: „Nauczmy go!” – i zaciągał basem jeden z psalmów. Potem pytał: „A jest ochrzczone?” „Tak, tak” – odpowiadał szybko ojciec – „Prawdziwie ochrzczone!” Orłowski ze zdumieniem pytał: „Jak to rozumieć – prawdziwie?” Ojciec odpowiadał, że wodą. „Aaa... to rzeczywiście prawdziwie ochrzczone...” W końcu ojciec ucinął: „Jeszcze za wcześniej, żeby go uczyć na popa. Niech najpierw się nauczy chodzić, na razie łązi jeszcze na czworaka. Jest mądry, ale najpierw musi nauczyć się prosić o nocnik...” – i w ten sposób sprowadzał rozmowę z płaszczyzny duchowej na przyziemną. (...)

139

W latach 1966-1967 Orłowski był już od sześciu lat dyrektorem elewatora w Żołotonoszy. Często przyjeżdżał do Liaszcziwki. Był myśliwym, polował na kaczki i zające. Ciągnęło go też do starych kompanów od butelki. W tych czasach nie nosił już sutanny ani krzyża. Przyjeżdżał samochodem Pobieda i z samochodu wysiadał w oficerskim galowym mundurze ze złotymi pagonami pułkownika. Nosił też garnitury z drogich tkanin. Przyjaźnił się z moim ojcem, który szył mu ubrania i bobrowe czapki i futra. Przywoził nam do domu worki mąki, którymi rozliczał się z ojcem. Mogłem z nim pojeździć samochodem po wsi, co mnie bezgranicznie uszczęśliwiało. Lubiłem zapach samochodu, na który składały się zapachy benzyny i dymu. Samochód był symbolem czasu i przestrzeni. Jeździł bardzo szybko i daleko, co dla mnie, wiejskiego chłopca, żyjącego w jednym miejscu, w ciszy pośród pól, stanowiło bardzo pociągającą tajemnicę. Orłowski był sowieckim paniskiem: komunistą, pułkownikiem, popem, dyrektorem.

Świat Orłowskiego byłby wspaniały, gdyby nie problemy, z którymi spotykał się w Liaszcziwce. We wsi mieszkał stary pop buntownik. W latach trzydziestych był batiuszką gdzieś za Uralem, ale w ostatnich latach panowania Stalina został wyrzucony z Cerkwi i postawiony przed sądem. Po odsiedzeniu wyroku osiedlił się w Liaszcziwce. Utrzymywał się z wyrobu beczek i ze stolarstwa. Z narzędzi miał tylko topór i tym toporem robił wszystko, także beczki. Nikt go nie męczył podatkami, w całym regionie tylko on tak znał rzemiosło. Był obcym, przybyłym z głębokiej Rosji. Wyglądał bardzo dziwnie: wielki mężczyzna z gęstą, czarną zmierzwioną brodą, długimi włosami i ustami pełnymi białych zębów. Jego wygląd nic nie mówił o tym, w jakim może być wieku. Chodził w długiej, oberwanej i połatanej sutannie, na piersiach miał duży drewniany krzyż.

Moje pierwsze wspomnienie o popie od beczek, będącym nowym wcieleniem popa Awwakuma<sup>1</sup>, pochodzi z wczesnego dzieciństwa. Stałem z babcią na ulicy obok naszej furtki. Po ulicy toczył beczkę brodaty, bosy mężczyzna. Scenka była dziwna, bo pop, doszedłszy do naszego ogrodu, zatrzymał się i powiedział, że jak Diogenes mieszka w tej beczce. Babcia nie zrozumiała uwagi o Diogenesie, ale spytała, jak on mieszka w tej beczce. Pop odpowiedział, że jest bezdomny i ma tylko beczkę. Może ją sprzedać. A mieszka w beczce, ponieważ katolicycy masoni i komuniści pozbawili go domu. Babcia zaprosiła bezdomnego człowieka do domu i nakarmiła barszczem z chlebem. Spytał, czym się może odwdzięczyć za obiad. I zaproponował, że zaśpiewa dla nas pieśń. Śpiewał pieśń o jakiejś skale, na której mieszka orzeł. Skała jest tak wysoka, że nikt nie może tam wejść. A wokół skały woda rzeki Wołgi. Śpiewał i płakał, popijając łyż samogonem. Kiedy poszedł, spytałem babcie, kto to są katolicycy masoni. Babcia nie wiedziała. Spytałem, kto to jest Diogenes. Odpowiedziała, że Diogenesami zostajemy, kiedy nie mamy swojego domu. Diogenesami byli też Kulykowie, kiedy mieszkali w ziemiance za wsią. Kiedy wieczorem wrócili z pracy rodzice, biegałem wokół nich i wykrzykiwałem, że wiem, kto to jest Diogenes, że Diogenesami byli kiedyś Kulykowie, kiedy katolicycy masoni zburzyli nam dom. (...)

Zacząłem nalegać na ojca, żeby mi wyjaśnił, co to takiego jest „katolik”. Ojciec nigdy nie łąławał czasu na rozmowy ze mną i ochoczo mi wyjaśnił, że są katolicy i są prawosławni i że prawosławnych odróżnia bardzo silna wiara w to, iż w kosmosie i na ziemi jest szatan. I wydali mu razem z Bogiem wojnę. A katolicy tylko wykorzystują szatana, żeby czasem straszyć ludzi, kiedy jest im to wygodne. A najważniejsze – że nie chcą się przyłączyć do prawosławnych, żeby razem ustawić szatana na swoim miejscu. Katolicy w ogóle mało wierzą w to, że istnieje szatan, i prawosławni dlatego mówią, że katolicy ukrywają szatana u siebie w kościele. I ojca tak poniosło w filozoficznych rozważaniach o katolikach i prawosławnych, że w końcu stwierdził, że dobremu człowiekowi nikt nie jest potrzebny: ani katolicy, ani prawosławni, ani Bóg. Najważniejsze to kochać ludzi i nie przeszkadzać im żyć, a wszystko będzie dobrze. Ojciec miał wpojone stalinowskie ateistyczne wychowanie o powszechnej komunistycznej miłości między ludźmi i Bóg w tym światopoglądzie gdzieś się zgubił. Tłumaczył mi więc, że tak naprawdę to wszystko, co jest związane z Bogiem i szatanem, wymyślili bogaci ludzie, żeby zastraszyć biednych i żeby biedni siedzieli cicho. Kiedy są straszeni Bogiem i szatanem, to ła two ich trzymać za pysk. „Może to nawet dobrze, że się boją” – rozmyślał ojciec – „Tu u nas w Liaszcziwce, gdyby nie bali się Boga, to by się nawzajem już dawno pozabijali, a tak – jeszcze żyją”. Nie dowierzałem ojcu, a o katolikach nadal niczego nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia – kim są, jak wyglądają i w ogóle kto to taki. Kiedy pytałem o to starszych ludzi we wsi, nikt także nic nie wiedział i mi nie powiedział. Tylko jeden człowiek odpowiedział, że kiedy był na wojnie i szli przez Polskę na Niemcy, to widział kościoły i katolików. I powiedział, że kościoły są inne niż cerkwie, a ich batiuszkowie inaczej się ubierają. I nie mają matuszek, czyli żon. Gdyby mieli matuszki, to być może nie byłiby katolikami, a byłiby naszymi batiuszkami. Było mi bardzo trudno zorientować się w tych zawłościach – dlaczego katolicycy batiuszkowie się nie żenią i co im w tym przeszkadza? Dziwiłem się też, że ich główny katolik siedzi w Rzymie. A dlaczego nie w Moskwie? Wszyscy najważniejsi siedzą w Moskwie i na Kremlu, także i główny batiuszka, i Breżniew. (...)

Minęło wiele lat. Pewnego razu, w roku 2000, w drodze powrotnej z Liaszcziwki do Warszawy spotkałem syna Orłowskiego na dworcu autobusowym w Żołotonoszy. Wyróżniał się spośród tłumu ludzi. Był bardzo podobny do swojego ojca – takiego, jakiego pamiętam z dzieciństwa. Jego wygląd wskazywał na to, że musi być batiuszką. Miał długą brodę i warkocz schowany pod czapką. Ubrany był w kurtkę z łatami na łokciach i połatane buty. W rękach trzymał rączkę wózka na kółkach – tzw. krawczuczki. Z takimi wózkami widuje się na Ukrainie najuboższych. Brak mu było tego sznytu i blasku, który rozsiewał wokół siebie ojciec. Widać było, że na co dzień nie jeździ luksusowym samochodem Pobieda i nie nosi galowych mundurów ze złotymi pagonami pułkownika. Kiedy wsiedliśmy do autobusu jadącego w stronę Kijowa, usiadłem na wolnym miejscu obok niego. Pierwszy zacząłem rozmowę i wymieniłem nazwę wsi Liaszcziwka. Widać było, że go to bardzo wzruszyło. Z tego, co mówił, wynikało, że prowadzi cerkiew Patriarchatu

Moskiewskiego w małej wsi koło Zołotonoszy. Kiedy spytałem go, jak to się stało, że jego ojciec był jednocześnie i oficerem, i batuszką, odpowiedział mi: „Młody człowieku, nie żyliście w tamtych czasach i nie macie pojęcia, jakie wszystko było skomplikowane. Wielu duchownych zginęło w leninowskich i stalinowskich obozach. Mój dziad był batuszką. Na naszą ziemię przysłała obca ideologia równości i komunizmu. My, Ruscy, musieliśmy jakoś ratować naszą ojczyznę i ziemię. Po to właśnie mój ojciec, też batuszka, został oficerem-pułkownikiem. Pagony pułkownika zobowiązały go do zostania komunistą.

**„A my z Bożą pomocą i z pokorą wszystko to przeżyjemy i uratujemy ruską ziemię. Jeśli pojawi się jeszcze jakaś szalona partia, to do niej wstąpimy i Bóg nam pomoże ją zniszczyć. Ruska ziemia opiera się na wierze i miłości i tego się trzymamy”.**

Kiedy zakończyła się wojna z faszystami – został znów batuszką, tak jak to było przyjęte w naszej rodzinie od niepamiętnych czasów. I dobrze wypełnił swoje zadanie. Popatrz! Nie ma już komunizmu, a mój ojciec był w partii i niszczył tę partię bardzo umiejętnie od środka. Także wtedy, kiedy partia zrobiła z niego dyrektora elewatora w Zołotonoszy. W naszej rodzinie, Orłowskich, zawsze tak było: albo służyliśmy jako batuszkowie, albo zostawaliśmy oficerami, kiedy na naszą ziemię przychodziła wojna. Oto mój syn – uczy się w seminarium duchownym, ale jeśli będzie trzeba – zostanie oficerem, jak jego dziadek. Na naszej ziemi zdarzały się i mogą się zdarzyć różne rzeczy. Nadciągają różne polityczne wichury. A my z Bożą pomocą i z pokorą wszystko to przeżyjemy i uratujemy ruską ziemię. Jeśli pojawi się jeszcze jakaś szalona partia, to do niej wstąpimy i Bóg nam pomoże ją zniszczyć. Ruska ziemia opiera się na wierze i miłości i tego się trzymamy”.

Przypisy:

1. Pietrow Pietrowicz, Awwakum (ur. 1620 lub 1621, zm. 1682) – rosyjski pisarz, przeciwnik XVII-wiecznych reform patriarchy Nikona, protopop Jurewca Nadwołżańskiego. Przypisuje mu się 43 dzieła, w tym *Żywot* – pierwsze rosyjskie dzieło autobiograficzne uważane za arcydzieło literatury rosyjskiej XVII wieku. *Wiódł barwny, pełen cierpień i prześladowań żywot, wielokrotnie więziony i skazywany na wygnanie. Zmarł spalony na stosie. Przez staroobrzędowców, kontynuujących jego nauki, uważany za męczennika. Patrz także artykuł J. Chudzika Państwo a Cerkiew Prawosławna w Rosji. Szkic, w tym numerze Pressji (przypis pochodzi od redakcji).*

Iwan Kulik (ur. 1959):

ukraiński malarz mieszkający w Polsce. W latach 1983–1989 studiował architekturę wnętrz i malarstwo monumentalne w Instytucie Sztuk Użytkowych w Charkowie. Od 1990 roku mieszka i tworzy w Polsce. Dominującą część jego twórczości stanowią obrazy olejne, które łączą się w cykle tematyczne. Najważniejsze z nich to cykle inspirowane wielkimi postaciami historii i sztuki, nastrojem miejsc i portrety. Od 2001 roku artysta tworzy także gwasze związane tematycznie z wybitnymi dziełami literackimi. Pierwszym utworem, który go zainspirował, był *Mistrz i Małgorzata*. W następnych latach powstały dwa kolejne cykle: *Folwark zwierzęcy* oraz *Don Kichot*. Miał dotąd kilkanaście wystaw indywidualnych, najważniejsze w Warszawie, Łodzi i Sopocie, a także w Wiedniu. Od niedawna zajmuje się również pisaniem.